№ 45. Warszawa, dnia 26 Października (7 Listopada) 1895 r. Rok XXXI.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

— Wojna będzie— —

— Co? co? co?—odezwano się ze wszech stron.

— Czy zawiadomiły o tem depesze nadzwyczajne?

— E! nic podobnego nie było, tylko się chłopcy na gwałt rodzą.

Nie śmiejcie się, łaskawi państwo, to jest znak niezawodny, że na ziemi spokojnie nie będzie. Przynajmniej wierzono w to dawniej i, jeżeli chłopacy zaczęli się sypać jak z rękawa, pan Maciej pokręcał wąsa i cały zatapiał się w dziennikach politycznych.

Czy dzisiaj ma być inaczej?

Spotykam pana Ignacego.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry.

— Jakże zdroweczko?

— Moje—dobre!...

— A żona?

— Ma synaczka— —

Z panami: Mateuszem i Tadeuszem jota w jotę taką samą miałem rozmowę.

— E! myślę sobie—na kawał mnie biorą, czy co? Gdzie tam!

Panie Weronika i Monika, Petrunela i Domicela, wszystkie razem uszczęśliwiły swych mężów męskiemi potomkami.

Ale—myślę sobie—to może taki szczęśliwy wypadek, czy zbieg szczęśliwych wypadków w małem kółku znajomych moich—w ogóle zaś inaczej się dzieje i płeć żeńska przewyższa męzką jakto dotychczas bywało. O tem najdowodniej nas przekona wykaz ruchu ludności, choćby samej tylko Warszawy, gdzie dziewczęta wprost spisek uknuły i liczebnością swoją chcą pokonać ród męzki.

Biorę tedy gazetę z ostatnich dni ubiegłego miesiąca i czytam:

„W ciągu tygodnia, od 20 do 26 Października urodziło się dzieci płci męzkiej 243, płci żeńskiej 190.“

Bagatela! Różnica o przeszło pół setki.

Czytam dalej:

„W tygodniu uprzedniem zanotowano urodzeń dzieci płci męzkiej 256, płci żeńskiej 180.“

To jeszcze większa bagatela, tu już różnica wynosi cyfrę—siedemdziesiąt sześć.

Na wsi też nie lepiej.

Co który szlachcic przyjedzie, a spytam go—co ma?—a ręczę że ci odpowie: „dał mi Pan Bóg synaczka“—choćbyś pytając, miał co innnego na myśli. Tak samo i z chłopem:

„Baba mi chłopca przywiodła!“

Niezawodnie wojna będzie.

Kto, kiedy, z kim i jak za bary się weźmie, to już mnie mało obchodzi; przecie i tak już grzmi na dalekim Wschodzie, a Padyszach trzęsie się trochę, melancholijnym wzrokiem spozierając na złociste fale Bosforu, które by nierad opuścić, na których nieraz kołysały się podniecone haszyszem myśli jego i piękne głowy odalisek niewiernych. Kto to wie, co ze Złotym-Rogiem będzie, czyja tam pieśń zastąpi smętną nutę czarnookich Greczynek i gruzińskich niewolnic.

Mimowoli przyszedł mi na myśl wierszyk, który prawie dziecko każde na pamięć umiało.

Jedna tam strofka tak brzmiała:

Bo jak się pogodzić może
Szara gęś z prosięciem—
Dziękuję ci Panie Boże,
Że ja nie zwierzęciem.

I ot,—taka mi na myśl parafraza przyszła:

Bo jak się pogodzić może
Świat z dzisiejszym stanem?
Dziękuję ci Panie Boże,
Że ja nie sułtanem.

Przysłowiowe szczęście sułtańskie, coraz bardziej efemerycznem się staje. Ba! chłopcy się na gwałt rodzą.

Ale—co będzie, to będzie a ty Maćku graj i pozbieraj wiadomostki różne do swojej kroniki, ażeby czasami nie powiedziano o tobie:

— Mości panie—wyszeptałeś się już jak rak!

Patrzę tedy bacznie w około i myślę.

Jesień—mgła... Brrr! i chłodno trochę—na torze wyścigowym pustki, miły domek totalizatora stoi, jak wdowa, samotny, czekając zmiłowania się Bożego. Nie zazierałem tam nigdy, gdy pełno i gwarno w nim było a przez okienko nęcący uśmiech posyłała nadzieja, lecz, że mam w sobie pewnego ducha sprzeczności, zajrzałem do wnętrza właśnie teraz, gdy tak wygląda sieroco.

Nie dziwcie się—czułe mam serce i zawsze mnie los wdowi pociąga—a sieroctwo roztkliwia... A ponieważ na porządku dziennym są rozmaite *interwiew'y*, dla czegóżbym i ja, na wzór dziennikarzy zagranicznych, nie mógł sobie na tę przyjemność pozwolić? Tylko, że oni i z głowami koronowanemi gawędzą czasami, ja zaś z domkiem totalizatora rozmowę zawiązałem.

Usiadłem tedy na kamyku przed progiem i rzekłem:

— O domku miły—dla czego tak smutno wyglądasz?

— Och!—wypadło z głębi.

Było to przejmujące westchnienie.

— Domku luby — mówiłem dalej — sekretu nie zdradzę, powiedz mi tylko szczerze, czy dużo skrzywdziłeś ludzi?

— Przynajmniej nie mało—odpowiedział domeczek.—Ale to nie jest sekret żaden, bo wie o tem cały świat cywilizowany.

A ja znów:

— O czemże teraz myślisz?

— Tak, jak zawsze—tylko o sobie,—on na to.

— To ładnie, to bardzo ładnie z twej strony. Dla czego jednak ty, któremu tylko rozwój swój

i całą społeczną doniosłość zawdzięczają wyścigi, tak skromnie wyglądasz, gdy oto nowe wznoszą się trybuny, wieżyce ku błękitom strzelają, wiją się ażurowe galerye?... Zkąd to zaparcie się twoje?

Domek uśmiechnął się—i rzekł:

— Nie od razu Kraków zbudowany. Zresztą niech nie myślą ci, którzy w ogóle nie wiele myślą, że mnie już tak dalece dobrze się dzieje. Maluczko, a ujrzysz, że i ja strój wezmę odświętny i nowym otoczę się powabem.

— Powiedz mi, domku miły—pytam dalej—czy podniesione stawki nie odstraszyły ludzi od puszczania się na bystre fale losów niepewnych?

— Nic a nic. Ciągną jeszcze z większym zapałem—prawi domek.

— To dobrze mówi o nas, którym wciąż zarzucano, że nasz zapał słomianym jest. To wizytowanie jednak ciebie, domku poczciwy, czy nie jest także dowodem zamożności naszej?

— Żadnym— —

— Wyjaw że mi tajemnicę, ty posiadaczu tajemnic różnych w jaki sposób zbliżają się do ciebie niepowołani?

— Wszyscy są powołani.

— Przepraszam! chciałem powiedzieć — niemający koligacyi żadnych ani z brzęczącą ani z szeleszczącą monetą?

— Otóż widzisz—odpowiedział domeczek—przychodzimy do jednej z najważniejszych kwestyi, której wyjaśnienie przekona ciebie o niesprawiedliwości czynionych różnych mi zarzutów, jak i o zbrodniczych zamiarach pozbawienia mnie arcypożytecznego żywota. Mówią ciągle o słabo rozwiniętym u nas przemyśle, ja właśnie wytwarzam ludzi przemysłu, rozwijam spryt i umiejętność radzenia sobie w ciężkich okolicznościach. Naprzykład: Podczas ostatnich wyścigów zbliżał się wciąż do mnie jakiś wymoczek: byłto pieszczoch maminy, któremu jednak przez źle zrozumiane przywiązanie, mama wzbroniła zawrzeć ze mną bliższy stosunek przyjaźni. Zbliżał się tedy, to odchodził... Słaba głowina jedynaczka wiele rzeczy jeszcze zrozumieć nie mogła, ale już samo kręcenie się koło mnie rozszerzało horyzont jego pojęć. Ja nic nie mówiłem, w umyśle jednak wymoczka coraz zbawienniejsze pojawiały się światełka. Wreszcie odszedł krokiem pośpiesznym, ażeby po dniach paru wrócić do mnie z wyciągniętą dłonią, uzbrojoną w paręset rubli. Dawał mi—ja brałem, no—i oczywiście wziąłem wszystko, bo zasadą moją jest brać a dawać bardzo rzadko.

— O tem słyszałem, domku—lecz wróćmy do młodzieniaszka. Prawdopodobnie mama jego zrozumiała na czem polega jej przywiązanie i dała synaczkowi pewną sumkę pieniędzy?

— Nie—odpowiedział domek.

— Pożyczył za tem od kolegów?

— Wcale nie!—rzekł domek.

— Położył więc na wekselku podpis tatusia!

— Zupełnie nie!—wołał domek.

— Więc co?

— Zbliż się i ucho nadstaw.

Zrobiłem, jak kazał—a domek szepnął:

— Mama miała klejnoty, których nazajutrz w szufladzie nie zastała.

— Aaa!

— Zważ teraz, jak ten wymoczek rozwinął się szybko.

— To jednak oderwany fakt takiego rozwinięcia się—rzekłem.

A on na to:

— Nie, w ostatniej rubryce totalizatorskiej kroniki mojej—niemało podobnych faktów mam zapisanych. I nie myśl sobie, ażebym się przechwalał. dla tego tylko, by w lepszem świetle przedstawić się tobie—mówię ci szczerą prawdę, ażebyś wiedział, że projektowane u nas domy gry à la Monaco—dopóki ja jestem, są całkiem niepotrzebnym wymysłem. Zastępują doskonale wszystkie Monte i nie Monte-Carla, z tą tylko różnicą, że robią to cicho, bez hałasu, bez żadnego szurum-burum, strzelań się i—na mniejszą skalę. Nie roznamiętniam tak wściekle—ale łechcę, nie robią się więc żadne podłości, ale podłostki, lecz ja temu nie jestem winien.

— Oczywiście, mój domku!

— Przyjdziesz na przyszłą wiosnę?

— Nie, mój najukochańszy!

— Zamało rozwinięty jesteś.

— Wiem o tem!

Pożegnałem domek pogrążający się w ciszy jesiennego wieczora i na ten interwiew moje skończyło się.

Twierdzą, że w podobnego rodzaju rozmowach, interwiewowany nie jest zupełnie szczery i zupełnej nie mówi prawdy. Mój domek był prawdomówny, nie skłamał mi nawet o klejnotach matczynych.

Byłem bardzo smutny—prawdopodobnie to tak mnie pochmurny dzień jesienny nastroił.

Czemby się rozweselić?..:

Jesień chłodna i drżysta, konkursowa wystawa główek kobiecych w Towarzystwie Zachęty nowego nam nie dała talentu, komorne płacić potrzeba i pani Eusapii Palladino niema nawet w Warszawie...

Ale à *propos* pani Eusapii czyście nic o niej nie słyszeli?

Boże mój co to teraz będzie z ciałem astralnem czy siłą nerwową, z wyciskami w glinie tajemniczej postaci John'a King'a, z różnemi epitetami, któremi obdarzali siebie eusapiści, z całą prawdą ową, której rzecznikiem miała być ta w zadziwiający trans wpadająca włoszka? Czy na czynionych z nią doświadczeniach, na jej tajemniczej, *nie zdemaskowanej* sile budowana teorya nowej wiedzy—nie wyda się dziwnym obłędem rozumów nawet potężnych, którym w poprzek stawał tylko rozsądek zdrowy, ten prosty, chłopski rozsądek nie dający się nigdy wydrwić i wyśmiać. Głos podobnych badaczów, jak Ochorowiczów, Lombrosów, Riche'ów i tylu innych kazał mu zamilknąć i czekać tylko cierpliwie chwili, w której prawda, jak oliwa na wierzch wypłynie a—wierząc doniesieniom dzienników, ta oliwa już wypłynęła i sądzimy, że powinniśmy raz na zawsze dać pokój nogom stołowym i rozprzestrzenianiu złej wiary w materyalizacyę i demoteryalizacyę duchów, lękających się zawsze światła dziennego.

To światło było zawsze największem szkopułem, o który rozbijała się wiedza rozsądków chłopskich.

Wziąłem do rąk dziennik pewien.

— Rety!

„Eusapia Palladino została zdemaskowaną.“

Aż drgnąłem przeczytawszy te wyrazy pewnego londyńskiego korrespondenta do „naszego“ *Kuryera Codziennego* pisane.

Czy one mi przykrość sprawiły?

Tak!

— Nie byłeś przecie zwolennikiem pani Eusapii.

— Prawda—ale ostatecznie nie łamałem kopji w obronie jej przeciwników. Mój chłopski rozum uważał tylko te wszystkie, dobrze już nam znane zjawiska, zanadto błahe, za nazbyt jednostajne, ażeby można było jakąkolwiek bądź wartość do nich przywiązywać. Ale wystąpić z czemś stanowczem przeciwko nie tylko już potentatom nauki, lecz ludziom niepodejrzanej wiary, zajmującym się tego rodzaju badaniami—byłoby trochę za śmieszne. Mogłem tylko powiedzieć skromniutko: nie wierzę!—zagorzałym profanom: nie palcie się! dodać—do hałaśliwych zaś przeciwników zwrócić się ze słowami: poczekajcie! Ani moje przekonanie, ani wasza gorączka ani tych trzecich nieuzasadniona naukowo opozycya, nie mają najmniejszej wartości, tam, gdzie się do badań wzięły przygotowane do tego umysły. Prawda, że taki potentant wiedzy, jak Crooks, taki przyrodnik jak Wallace i tyle innych nie wątpili już o prawdzie nadzwyczajnych objawów, ale bądź co bądź szeroki ogół mężów nauki ostatniego nie wypowiedział jeszcze słowa. Zdarzały się medya uznane, ale to ten, to ten niedowiarek zdjął z nich szalbierczą maseczkę—wierzący godzili się z faktami, przyznawali, że kuglarzy może być dużo, ale nie racya by wszyscy takimi byli.

Aż oto pojawiła się pani Eusapia.

Gdzie z niej nierobiono doświadczeń, jakiej nieprzeprowadzano kontroli. W miastach i na wyspach bezludnych zamykano się z tą damą przez Johna Kinga nawiedzoną, która się poddawała wszelkim rewizyom; zamykano okna, pieczętowano drzwi, nogi jej nawet w jakiejś klapy bezpieczeństwa brano.

Daremne wybiegi.

Stoły się podnosiły, krzesła skakały, cudowne pojawiały się światełka, a niewidzialna ręka klepała po ramionach, zdejmowała binokle, szczypała za nosy i za włosy targała

„Pani Eusapia Palladino obdarzona jest niezwykłą siłą nerwową, mówiono—ale—badajmy dalej!“...

I oto, według wiadomości wyż podanej, jakiś niewierny syn Albionu, nazwiskiem Maskelyne przełapał nakoniec i tę na figlach czysto kuglarskich. Oto, co pisze w tym względzie:

„Faworytalną sztuczką Eusapii dla wyzwolenia ręki z pod kontroli sąsiada jest bardzo dowcipny wybieg, który uzyska zapewne wielką popularność między *medyami*. Brała ona naprzykład moją rękę, którą, jej rękę przytrzymywać miałem i skierowywała dłonią na stół przed nami stojący; po chwili zaczynała ona z początku bębnić swemi palcami po mojej ręce, a potem mocno naciskać. Manewr ten odbywał się przy każdem „objawieniu,“ Z początku sądziłem — mówi dalej p. Maskalyne,—że Eusapia ma przyrząd gumowy z palcami; trzymając przyrząd w zębach, mogłaby ona uciskać mą rękę, tem samem mając swoją zupełnie swobodną. Przypuszczenie to, które udzieliłem p. p. Lodge i Myers, wydaje mi się dziś błędnem. Przyrząd jest zupełnie nie potrzebnym, gdyż Eusapia starała się zawsze mieć swą prawą ręką o tyle swobodną, aby mogła poruszać palcami. Niezmiernie zręczna, zdołała ona palcami prawej ręki naciskać moją i w tej samej chwili lewą ręką, którą to niby miałem pod kontrolą, grać rolę ducha...

„Dziesiątki uczonych twierdziło—mówi dalej p. Maskelyne — że Eusapia podnosi stół końcami swych palców. Ja zaś widziałem, że przy podnoszeniu stołu, nie tylko palce były w grze... bo kiści ręki, bo nogi całe, bo i zęby nawet, któremi podczas konwulsyi zgrabnie uchwyciła stojący za nią stół i rzuciła takowy w środek naszego koła.“ Tak więc: „nawet wierzący w Eusapię przyszli do przekonania, że jest ona sztukmistrzem i figlarzem pierwszego rzędu.“

To posiedzenie p. Maskelynego z Lodgé'm, Myersem i Eusapią odbyło się w Cambrigde. „Towarzystwo poszukiwań psychologicznych“ przygotowało już do druku sprawozdanie z tych doświadczeń, sprawozdanie, stwierdzające spostrzeżenia p. Maskelynego, który znów zobowiązał się zachować milczenie aż do chwili, w której stowarzyszenie przyjdzie do ostatecznych wniosków.

I oto w obec zgodności tych ostatnich z wrażeniami p. Maskelynego, ogłosił on swoje spostrzeżenia zdzierające urok z niewiasty onej, która warszawiakom nawet potrafiła zawrócić głowy.

Cóż teraz będzie?

A no—nic, poczekajmy tylko, by te wszystkie wiadomości podane przez wyżej wymienionego korespondenta, były ostatecznie stwierdzone. Później już tylko we wszystkich badaniach, jakie nam padną w udziale, nie zgodzimy się nigdy na *zmniejszanie światła*, ale żądać będziemy, by ono pełnym promieniem nam przyświecało. Bywajcie zdrowe stołowe nogi i ty stukający John—King'u; my, osobiście dziwimy się tylko temu umysłowi ludzkiemu, który nie chcąc wierzyć w cuda Boże, wierzy częstokroć w takie dziecinne rzeczy, jak duchy pukające w stoły, — rozbija się po głębiach przepaścistych, by dojść wreszcie do przekonania, że padł ofiarą nędznej mistyfikacyi, niedorzecznością swoją bijącą wprost w oczy.

Wracajmy więc do siebie:

W jednem z pism znajdujemy artykuł dość ciekawy, o którym niegodzi się nie wspomnieć, szczególnie w tygodniku dla kobiet przeznaczonym.

Projektem tym jest utworzenie specyalnego *klubu dla kobiet*, mniej więcej na modłę istniejących już od dawna w Ameryce.

Myśl dobra i sądzimy, że przy bliższem jej rozpatrzeniu, uskutecznić łatwoby się mogło.

Słusznie autor czy autorka powiada, że przy dzisiejszych ciężkich warunkach egzystencyi, najsmutniejszym może jest los kobiety samotnej, zmuszonej do ciężkiej pracy na chleb powszedni.

Takich kobiet bez rodziny, bez domowego ogniska pojawia się coraz więcej;—nietylko dla nich utrudnionem jest zamążpójście, ale nawet stosunki towarzyskie.

Przy ciężkich warunkach ekonomicznych, jakie są u nas, żadna prawie z tych pracownic nie może

zapewnić sobie o tyle niezależności, ażeby mogła pomyśleć o większem kole znajomych, o przepędzeniu chwili na towarzyskiej rozmowie, która po długich dniach pracy jest koniecznością niezbędną tak dla umysłu jak i serca, a choćby tylko dla tego uśmiechu, który w większem gronie na ustach pojawić się mu si. Ach uśmiech, chwilowy nawet uśmiech, jest balsamem dla serc stroskanych, dla myśli zmęczonej, dla oczu czerwonych od niewyspań i pamięci zwróconej ciągle na dzień jutrzejszy. Ale udziałem takiej kobiety jest samotność, zasklepienie się samej w sobie, trud nieustający, gorycz życia bez możności podzielenia się nią nawet. Chciałoby się z kimkolwiek bądź serdeczniej porozmawiać, duszę w duszę przelać, jak to mówią, zobaczyć wreszcie ludzi, czemkolwiek myśl rozerwać, mieć jedną godzinę zapomnienia i tak pożądanej swobody. Ale każde najskromniejsze przyjęcie u siebie wymaga już pewnych wydatków, bo nie dość przyjąć jedną lub drugą przyjaciółkę, inny całkiem wpływ wywiera liczniejsze zebranie, słowem to, co w potocznej mowie towarzystwem zwiemy.

Kobieta samotna jest pozbawioną tej przyjemności. Klub więc taki, gdzieby się mogły zbierać jest rzeczą bardzo pożądaną, a Warszawa takich kobiet legion dostarczyć mu może.

Według rzuconego projektu, który oczywiście w wielu punktach wypełnionym być by musiał, do klubu dopuszczone być mają tylko *osoby jak się należy*. Kobietom mającym domowe ognisko, żyjącym życiem rodzinnem, wstęp pozostałby wzbroniony. Pierwszeństwo zaś przed wszystkiemi mają stare panny, wdowy i t. p. Przy klubie byłaby oczywiście biblioteka, czytelnia, i fortepian i inne środki rozrywki, wzbroniona też jest wszelka przesada w toaletach i udział żywiołu męzkiego.

Jest to więc projekt, a właściwie myśl projektu, który nie powinien pójść w zapomnienie. Wiem także, że gdym kilku paniom wspomniał o tem, paniom z dobrego towarzystwa, mającym grosz nawet, lecz nie mającym ani brata ani swata i zmuszonym niejeden dzień w tygodniu przesiedzieć samotnie między czterema ścianami swojego mieszkania—uradowały się niezmiernie i całym wpływem swoim rzeczony projekt poprzeć obiecują.

Instytucya podobna ma najzupełniejszą racyę bytu. Nie zgodzilibyśmy się może na jedno: dla czego kobiety zamężne nie mogłyby być członkiniami podobnego klubu?

A mąż, a dzieci? szanowny projektodawca czy projektodawczyni mi odpowie?

Na to ja rzekę—że, bezwątpienia, obowiązki żon i matek muszą być najpierwszą myślą każdej zacnej i rozumnej kobiety. Ale—nie zawsze są dzieci, nie zawsze pan mąż dba o ciepło domowego ogniska. Spotykało się nieraz zamężne samotnice wałęsające się zkąta w kąt po swojem pustem mieszkaniu. Zapytacie:

— A gdzie małżonek?

— W klubie—

— A kiedy do domu wraca?

— Tak koło trzeciej lub czwartej nad ranem.

— A wyszedł dawno?

— Zaledwo słońce zaszło—

— Co go pociąga?

— Wint!

I dosyć!

Rozrywka i dla takich by się przydała, tem bardziej, że niemal zawsze grosz pewien znajdzie się na karty w kieszeni mężowskiej, ale na przyjęcie gości u siebie, i to gości, którzyby stanowili rozrywkę dla żony—to: „oszczędzać się potrzeba.“

Z czasem paragrafy ustawy klubowej mogłyby się rozszerzyć i—stanowcze niewpuszczanie żywiołu męzkiego—złagodzonem by było. Niejedna stara panna i wdowa i tym podobne kobiety, którym byt materyalny stanął w zamążpójściu na przeszkodzie—przy bliższem poznaniu mogłyby się niejednemu podobać i zawiązać własne ognisko. Nie wpuszcza się tylko wilków do owczarni, ale przy udoskonalonym programie wspomnianego klubu, mógłby człowiek uczciwy, choć brodę i wąsy mający—to tę to ową, znajomą sobie, odwiedzić. Rozszerzałoby się koło stosunków, życie nabierałoby rozmaitości więcej i więcej uroku.

Oczywiście, że podobna innowacya nie odrazu powinna być wprowadzona. Potrzeba zacząć, byleby tylko zacząć, od mniejszej rzeczy, łatwiejszej, konieczniejszej—a później... i jedno i drugie dałoby się zrobić.

Mamy nadzieję, że interesowane niewiasty projekt ten pod rozwagę wezmą; że nie jedno się o nim napisze, zdania różne się zetrą i w końcu wykłuje się, tak bardzo pożądana instytucya; jeżeli zaś poronionym będzie ona płodem, to własną bezwładnością upadnie i czekać będzie albo dni lepszych, albo lepszego zrozumienia: na czem właściwie klub podobny powinien się wspierać?

??

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

KLĘSKA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Dzień był upalny—słońce dochodziło do zenitu—piękny kompas, stojący na gazonie przed domem Baczyńskich pokazywał południe.

Mimo tak spóźnionej godziny dwór jeszcze spał. W pokojach państwa, panny i hrabiego pozamykane były okienice, albo żaluzye spuszczone. Służba chodziła na palcach, otrzepując w salonach meble z kurzu, froterowała posadzki i cicho gawędziła między sobą. Sala balowa najwięcej wymagała trudu: posadzka w wielu miejscach zarysowana była od tęgich hołubców Kocia, na lśniących jej taflach szarzały długie, zmatowane pasy o linjach krzywych, jako ślady posuwistych kroków tancerzy — strzępki naddartych sukień, kawałki tiulów, uronione ordery rycerzy kotylionowych, pogubione kwiaty, igły i szpilki podwójne—walały się po kątach i były teraz smutnym obrazem wesołej zabawy, przypomnieniem chwili, która przeszła, jak sen, w każdej pamięci zarysowując się wrażeniami innemi.

Bal—jak wszelkie środki pobudzające nerwy do szybszego działania, najczęściej zostawia po sobie uczucie niesmaku, znużenia i nieokreślonej jakiejś tęsknoty. Gdy ostatnie dźwięki muzyki skonają, pokoje się opróżnią z rozbawionego grona biesiadników, zapanuje cisza i spokój, a pierwszy blask słońca zajrzy przez szyby do wnętrza—wejdź wtedy do sali balowej, a będziesz miał wierny obraz duszy tych wszystkich, którzy przed chwilą napełniali wesołym śmiechem i gwarem szalonym, teraz w milczeniu pogrążone komnaty. Trochę wspomnień błąka się w pamięci sennej, niby podarte strzępki strojów, albo powiędłe listki kwiatów o barwach spłowiałych; ciepła, dusząca atmosfera unosi się dokoła, lekką warstwą pył ściany pokrył, niby owa tęsknota, której odpędzić nie możesz. Chybaś został wybrańcem losu i słodką obietnicę miłości wyniosłeś z sali balowej: wtedy, masz sen piękny, przebudzenie rozkoszne, zdwojoną energję i duszę pełną uśmiechów.

Podobnych jednak szczęśliwców nie było na balu u Baczyńskich. Kocio, pewny serca panny Izabelli, w powozie już zasnął, a z wielkiem ziewaniem obudził się dopiero przed gankiem swojego domu; panna Izabella poirytowaną nieco była, przypomniawszy sobie kilka spojrzeń narzeczonego rzuconych na piękną Malwinę; miss Mary czuła się śmiertelnie znużoną, nie mniej hrabia Izydor, serduszko zaś panny Malwiny było przepełnione tęsknotą jakąś i niepojętym smutkiem. Jeden Baczyński tylko czuł się zupełnie zadowolony. Jeżeli przelotna chmura jakiegoś niepokoju zawisła mu nad czołem, to powodem jej była myśl: czy pragnieniom jego odpowie Malwina—ale uspakajał się szybko, bo nie dostrzegał nic takiego, coby mogło zamiary jego zwichnąć, przeciwnie, zdawało mu się, że hrabia malutki wyłom już zrobił w sercu panny, która najwidoczniej wyróżniała go pomiędzy wszystkimi, do której nikt z taką swobodą się nie zbliżał, która nie darzyła nikogo tak łaskawem spojrzeniem, jak wykwintnego pana Izydora.

Rozmyślając tak, stawiając *pro* i *contra*, Baczyński doszedł do przekonania, że zamiary jego muszą być pożądanym uwieńczone skutkiem. Coraz zaś silniej chwytał się tej myśli, gdy zaczął baczniej rozpatrywać swoje stanowisko, jako bogatego ziemianina.

Zamożnym był—zamożnym bardzo i gdyby całą fortunę swoją mógł przekazać tylko Malwinie—wtedy, nie z jednym panem Izydorem podrożyłby się może. Ale jeszcze miał troje dzieci, a najmłodszym był syn, któremu rad był cały majątek w ziemi zostawić. Bądź co bądź—fortuna jego rozdzielona na czworo, stawała się mierną fortuną szlachecką a tym czasem i on z żoną potrzebuje stosownego otoczenia i wykwintu, do którego nawykli. Pod względem więc pieniężnym, panna Malwina mogła być bardzo pożądaną partyą dla każdego z okolicznych szlachciców, ale dla Zdziarskiego prawie, że nie miała posagu. Jeżeli hrabia manifestuje swoje uczucia, to oczywiście powoduje nim tylko serce. Bezinteresowność rzadką jest cnotą w czasach dzisiejszych, pan hrabia jest zupełnie bezinteresowny i dla tego Baczyński tak wysoko go stawia i radby go zięciem swoim ujrzeć.

Czawicz coś wspomniał o zerze— —

Dziwak!

Nie zastanowił się nad tą piękną stroną charakteru pana Izydora.

Tak rozmyślając, Baczyński jeden tylko tonął w śnie brylantowym.

Dwór jarneński spał, krzątała się służba jeno i młodsza dziatwa z niańkami i bonami harmiderowała w oddalonej aleji ogrodu. Na folwarku oczywiście wrzało życie, w izbach czeladnych zgromadzała się służba dworska do obiadu, w kuchni należącej do dworu przeciągał się po nocy bezsennej pan Kacper Szafrański, a opasując się białym fartuchem i szlafmycę na głowę kładąc—mruczał pod nosem:

— Nijak się wyspać — a tu już Marcinowa grzmi!

Marcinowa, jakkolwiek najpóźniej ze wszystkich spać się ułożyła, najwcześniej wstała z wielkiem umartwieniem Kacpra.

— Cóżto, Kacper śpi—a kiedyż do obiadu się weźmie?

— A państwo już wstali?

— A Kacprowi, co do państwa?

— Chyba to nie dla nich obiad się robi, czy co?

— A właśnie, że dla nich.

— Więc kiedy śpią, to jeść nie będą— —

— Ale jak się obudzą, to zechcą—a u Kacpra iskierki jednej nie ma jeszcze pod płytą. Skaranie Boże i już! Na kompusie już samo południe, a Kacper się przeciąga dopiero.

— Już toże ja temu kompusowi łeb ukręcę, to jak amen w pacierzu, a przynajmniej nakieruję tak patyk, coby choć o dwie godziny później pokazywał.

— Niech tam Kacper nie wymyśla, lecz do roboty się bierze.

— A dyspozycya?

— Wydana— —

— No i jaka?

Pani Marcinowa wydostała z kieszeni cetlę i czytać zaczęła.

— Barszcz buraczany...

— Ze śmietaną?—przerwał Kacper.

— Czysty a kwaskowaty!

— Rychtyk, jaki po przepiciu się smakuje.

— Niechno Kacper nie dowcipkuje a słucha.

— Słucham, pani Marcinowo— —

— Rozbyf z młodą kartofelką, szparagi, kurczęta z rożna, komput z owoców i szampan mrożony.

— Szampan?

— Czy Kacper nie słyszy?

— Słyszę, ale jak mi się widzi, to po nim trzeba znowu dać będzie barszczyk czysty a kwaskowaty.

I śmiać się zaczął.

Pani Marcinowa poruszyła głową, ale mimo uszów puściła dowcip starego Szafrańskiego, który z powodu wysokiej swej znajomości sztuki kulinarnej, cieszył się stale łaską pańską.

W pokojach tymczasem krzątali się lokaje, starszy Onufry trzepaczką z piór kurz zmiatał z kandelabrów i innych delikatniejszych sprzętów, młodszy, Józek, bez surduta, w rozpiętej kamizelce, tańczył

na szczotkach, dawny lustr przywracając posadzce. Rozwiana czupryna poruszała mu się na głowie, kroplisty pot z czoła ociekał, a pierś dyszała, jak miech kowalski.

— Oto zapaskudzili podłogę, że nijak glansu z tej tafli dostać nie mogę, narzekał—i oparłszy się ręką o stolik tańczył coraz posuwiściej.

— To Pomiszewski wino tu wylał, kiedy przed Zabello ukląkł pośrodku mazura.

— A czego un klękał?...

— Widno, co nie chciała z nim tańczyć to un ją tak prosił na kolanach—rzucił Onufry.

— Kumedye!

— A cóż zrobić, z upornością?

— Kuksa w bok, i cała parada!

— At! gadasz, jak ten, co edukacyi nie ma. U was to tak, ale u nas to inaczej się dzieje.

— A niechno pan Onufer patrzy, jaka to tafla podrapana— —

Onufry się nachylił.

— Pomiszewskiego sztuka—mruknął,—bo jemu obcas się oberwał i już pod koniec ćwiekami zawadzał. Rokicki, to elegancko tańczy, cicho, jak należy się, niby to mydłem podeszwy wysmarował.

— Ja takiego tańcowania nie lubię—rzucił Józek, na szczotkach skacząc.

Po chwili Onufry odezwał się znowu.

— A jak się tobie Izydor podobał?

— Baj bardzo!

— A to czemu?

— Wydaje mi się niby kukła pirzem wypchana. Żeby tak jego za żebro wziąć, toby się człowiek i wątroby od razu domacał.

— Nie uformowany—

— Widno, co na pierzynach śpi a nic nie robi.

— A jednak mnie się wydaje, co on do naszej panny bierze się—

— E?—zapytał z niedowierzaniem Józek.

— Nie kontentny jesteś?

— Mnie się zdaje, co jazdy nie będzie, jeżeli do wozu zaprządz wiatr i torbę sieczki— —

Zaczęli śmiać się w kułak.

— A Baczyński weźmie go?—zapytał Józek.

— Graf! a ktoby grafa nie wziął?

— Tylo—zakonkludował Józek,—co nasza Malwinka chimerna i na trenzeli do kościoła nie da się powieść.

Nie spodziewali się w błogim śnie śpiący, że byli przedmiotem rozmów służby, która szemerowała bez miłosierdzia wszystkich prawie gości Baczyńskich. Józek naśladował posuwiste ruchy hrabiego, hołubce Kocia, ukłony pań, Onufry dodawał jakiś rys charakterystyczny i we wszystkiem śmieszności znajdował. Obronną ręką tylko wyszli Czawicz i Chostyniecki nie mogła też i panna Malwina narzekać, gdyby posłyszała wygłaszane o sobie zdania.

Wogóle służba cała lubiła bardzo pannę Baczyńską, której energiczny, stanowczy charakter niedopuszczał żadnego oporu, lecz znowu mając serce tkliwe i rozwinięte poczucie sprawiedliwości — umiała wynagrodzić krzywdy, przyjść zbiedzonemu sercu z pociechą, potrzebującemu z pomocą, stanąć w obronie niewinnych i zwyciężyć tam zawsze, gdzie prawda była. To też, czy nieoględne pastusze wiejskie szkodę na łanie dworskim zrobiło, czy pan leśniczy przydybał w zagajniku wymykającego się z klocem brzozowym rabusia — zawsze sprawy podobne szły przed sąd panny Malwiny, domagali się zaś tego sądu nie poszkodowani, lecz sami winowajcy.

Panna Malwina nie przebaczała nigdy rzeczywistego przewinienia—i za szkodę zrobioną w lesie czy w polu, kazała nawiązkę płacić, tylko wiedzieli wszyscy, że wzięte pieniądze nie szły do kasy skarbowej, lecz zasilane nieskąpemi datkami samej panny, stanowiły fundusz wsi, znajdujący się pod bezpośrednią jej opieką, jako też wójta gminy, który miał u siebie, wydaną przez pannę Baczyńską książeczkę, gdzie była wymieniona suma znajdującego się kapitału w gotowiznie, wydatki i wpływy, opatrzone podpisem założycielki i urzędową pana wójta pieczęcią.

Oczywiście, że ofiary panny Malwiny i w ogóle Baczyńskich, przenosiły w trójnasób znajdującą się w kasie sumę, wziętą za rozmaite przestępstwa ciemnego chłopstwa; wójt zaś gminy dawał rękojmię, że grosz jeden nie szedł na użytek skarbu, że wszystko co jest, jest wspaniałomyślnym darem pańskim, z którego, w danej chwili, ma prawo korzystać wieś tylko jedna.

Tak więc w kasie znajdowało się zawsze parę set rubli, czasem i więcej, raz nawet podczas nieurodzaju i tysiąc się znalazło. Ten i ten kawęknął— i przyszedł z prośbą o poratunek do panny, bo albo przednówek był ciężki, albo komu krowa zdechła lub wilki rozszarpały konia, zresztą i choroby nawiedzają ludzi i inne nieprzewidziane przygody. Wtedy panna Malwina naradzała się z wójtem i różnym potrzebom czyniła zadość. Nieraz w ten sposób i sierota bezdomna swojemu mężowi wniosła kilkadziesiąt rubli posagu, a na zagospodarowanie się krówka i parę owieczek przybyło. Gromada wiedziała, zkąd te pieniądze się biorą, zawiadamiał ją wójt, wiele za różne przewinienia do kasy wpłynęło, a wiele panna dała. Zrazu nie chcieli projektowanemu dobrodziejstwu dowierzać, ale gdy się to temu to owemu w złej przygodzie stanęło— zmiarkowali, że dwór nic nie zyskiwał, że przeciwnie, o swoje dobro dbając, dbał na równi i o dobro tych, którzy nocką bezprawnie trawę na łące skosili, po owoce do sadu zakradli się, lub w lesie jaką szkodę zrobili. Pijak nie dostawał zapomogi, pracowity w razie nieszczęścia nie odchodził z rękami próżnemi. To też po upływie lat kilku, pijaków było coraz mniej, niechętni zamieniali się w życzliwych i dziwili się ludzie, że z panami w zgodzie żyć można.

Powoli kasa panny Malwiny zaczęła błogie wydawać owoce: coraz rzadziej zdarzały się kradzieże w lesie, pilnowany lepiej dobytek nie lazł w szkodę, bo już nie oko ekonomskie ale cała gromada baczyła pilnie na wybryki podobne.

Bywały nieraz wypadki, że chłop chłopa za kark złapał i przywiódł do dworu. Daremno szkodnik wykręcał się i prosił swojaka, ażeby mu *deszpekcyi* nie robił— domagała się wynagrodzenia krzywdy wiadoma kasa, z kórej następnie w danej okoliczności i sam szkodnik skorzystał i nieżałował zapłaconego wówczas grosza. Zdarzało się już tak nieraz, że nikt łąki nie skosił, drzewa w lesie nie zrąbał ani gęsi w owsisko puścił. Baczyński wtedy wypełniał znajdujące się braki w kasie panny Malwiny, na czem wcale nie tracił, bo szkody żadnej w polu nie miał, co wynagradzało mu w dwójnasób, poniesioną dla dobra ogólnego ofiarę. Lecz choćby materyalnie zyskiwał nie wiele, zysk moralny nie małą miał wartość. Jeżeli niedostatecznie to sam uznawał, zaczęła to bardzo dobrze panna Malwina rozumieć.

Zrazu nie powodowała jej myślą żadna wyższa idea—poszła tylko za głosem uczucia, które jej kazało tak, a nie inaczej postąpić. Zresztą życie bezcelowe nużyło ją trochę, chciała się zająć czemkolwiek, być dobrą i pożyteczną. Mówiła często o tem z miss Mary, która pragnąc czemkolwiek przysłużyć się swojej dawnej wychowance a teraz przyjaciółce, podsunęła jej myśl utworzenia tego wiejskiego funduszu.

Zapalny temperament panny Malwiny, tym projektem odrazu się przejął. Czas pokazał, że dobrze był obmyślany. Dawniej winowajcy przychodzili do niej z prośbą o wstawienie się do ojca, widziała łzy, słyszała skargi i narzekania, które oczywiście niemiłą wcale dla niej były piosenką.

Ale czyż mogła być głuchą na łzy jakiejś zawodzącej niewiasty wiejskiej lub przysięgi chłopa, że kosa wypadkiem po łące pańskiej się przeszła? Szła tedy z prośbą do ojca, który oczywiście czynił zadość żądaniom Malwiny, ale gdy one za często się powtarzały, wydał rozkaz, by pannę raz na zawsze od natrętstwa chłopskiego usunąć.

Było to nieco trudne.

Spotykano ją wszędzie—to pieszo idącą w pole na przechadzkę, to na koniu przez wieś przejeżdżającą. Baczyński wypuszczał zajęte bydło w szkodzie, ale wypasy i wyręby powtarzały się coraz częściej.

— Rozpuszczasz lud—powiedział raz Malwinie.

Miss Mary to potwierdziła—zgodziła się i panna Baczyńska.

Wtedy powstała myśl wiejskiego funduszu.

Baczyński nie wierzył w dobre rezultaty tego pomysłu—ale zgodził się, bo córka chciała. Rzeczywistość przekonała go, że się mylił, a panna Malwina rada była, że jest kasyerką i że czasami ma parę godzin w dniu zapełnionych zajęciem jakiemś.

Była tylko dobrą—o niczem ważniejszem nie myślała dotąd; myśl podnioślejszej, ogólniejszej idei nie powstała w jej głowie jeszcze, dopiero na balu, jakaś wielka błyskawica olśniła jej umysł.

Błyskawicą tą było parę słów Chostynieckiego o Anderku rzuconych.

Zasnęła nieprędko z dziwną tęsknotą w duszy za czemś nieznanem, z jakimś jasno zarysowującym się obrazem. Była nadto znużona ażeby mogła myśli zebrać, ale to, co do tychczas zrobiła, w jej oczach teraz stokroć większej nabierało wartości.

Słońce doszło do najwyższego punktu niebios i zwolna chylić się zaczęło. Przez zazdrostki i okienice znalazło wązkie, ukośne przejście, i wślignęło się zdradziecko do pokoju panny Malwiny i okrągły jaskrawy znaczek rzuciło, niby plamkę świetlną, na koronkę poduszki puchowej. Zrazu zatrzymało się na brzeżku, ale snadź niezadowolone, zaczęło posuwać się coraz dalej, ostrożnie, jak ten, który w sercu zamiary złe ukrywa. Już plamka złota z siatki koronkowej zsunęła się na białą, gładką przestrzeń poszewki, zamigotała złociście w rozrzuconych, kruczych warkoczach śpiącej, wbiegła na czoło i w zamknięte powieki pocałowała.

Silny pocałunek był słońca, bo rozbudził pannę Malwinę— —

Wpółsenna jeszcze, wpółrozmarzona, z niewyraźnym pomrunkiem jakimś, jak bobak, którego świt biały do pracy budzi, przeciągnęła się w łóżeczku swojem, aż końce nóżek wyjrzały z pod lekkiego przykrycia o paluszkach zarumienionych, jakby przed chwilą z różanej wyszły kąpieli. Chwilę tak leżała nieruchoma, odwracając lekko głowę od złotej strzałki słońca, które ucałowawszy oczy dziewczęcia do koralowych ust się jej wzięło.

— Już pewnie późno—szepnęła do siebie.

Ale nie sięgnęła ręką po zawieszony zegarek na ścianie, bo dobrze jej było w tych puchach łabędzich, w tem półomdleniu, w niezupełnem rozbudzeniu się jeszcze ze snów rozkosznych może.

— Która też jest godzina? — szepnęła po chwili.

Rzucała tak sennym myślom swoim pytania, nie zadając sobie trudu, by przekonać się o rzeczywistości.

W tem lekko, z ledwo dosłyszanym szelestem poruszyła się kotara, zasłaniająca wejście do pokoju, który był ubieralnią panny Malwiny.

— To ty Agato?

— Ja, panienko—odpowiedziała służąca.

— Czy bardzo już jest późno? która godzina?— zapytała panna Baczyńska, nie ruszając się wcale.

— Pewnie panienki zegarek stoi, kiedy mnie pyta o to, czego ja nie wiem.

— Ach idzie, idzie — odpowiedziała Malwina, sięgając niedbale po malutki, złoty zegareczek w pantofelku wiszący nad łóżkiem—ale tak mi się ruszać nie chciało, że wolałam na ciebie zaczekać.

Spojrzała na zegarek—

— Pierwsza—

— Ja wiem, bo już po południu—dodała Agata.

— Nie wszyscy jeszcze wstali? prawda?—spytała znów Malwina, bawiąc się ze złotym łańcuszkiem, u którego chwiał się brylant duży a olśniony promienną strzałką słońca, tysiącem barw się mienił.

Agata się zaśmiała.

— Wszyscy panienko.—Może i panienka ubierać się już będzie.

— Poczekają trochę na mnie—przymrużając lekko powieki odpowiedziała panna Malwina.

— Czy i Miss Mary już jest ubrana?—spytała po chwili

— Tylko panienka śpi i pan graf—rzekła Agata.

Panna Malwina, jakby żar pod sobą uczuła, zerwała się nagle. Przez myśl jej przesunął się obraz z szybkością błyskawicy, który ją zupełnie rozbudził: wstali wszyscy, tylko ona na jednym końcu domu a na drugim hrabia Izydor śpią w miękkich pogrążeni puchach. Hrabia spać może, bo wyczerpany był i znużony nadmiernie. Pamięta jego oczy senne, powieki obrzękłe, policzki blade i usta nieco obwisłe. Parę kropel zimnego potu spływało mu po czole,

a pierś dyszała zmęczeniem. Wstali już wszyscy, żyją, ruszają się—tylko ona i on...!

Rumieńce silne, jak dwie róże, które nagle do słońca się rozwiną, zakwitły na panny policzkach. Jednym skokiem stanęła na dywaniku leżącym koło jej łóżka, śliczna, świeża jak lilia—biała jak śnieg wykąpany w promieniach wschodzącego słońca. Zaczęła się ubierać z niebywałym dotąd pośpiechem, tak, że Agata nie mogła rąk ni nóg nastarczyć, spełniając gorączkowo wydawane rozkazy.

— Prędzej Agato—śpiesz—nie marudź! — powtarzała raz w raz panna Malwina.

— O jej—a co to panience jest dzisiaj?...

Panna Malwina stanęła przy umywalce i oblała się falą świeżej, źródlanej wody. Srebrne krople rozbryzgiwały się do koła, cudownej białości ciało wzięło przezroczystość różowego kryształu. W jednej chwili była ubraną zupełnie. Z zawoju kruczych warkoczów wyjrzał na pół rozwinięty kwiat róży, lekka biała sukienka przytuliła się miłośnie do dziewczęcej kibici, wionęło od niej jakieś tchnienie wiosenne, niewymowny czar młodości, wieczysty urok niewieści. Na jej długich, ślicznych paluszkach błysnęło parę pierścionków, migocąc brylantowemi blaskami, wąziutki pasek złotej bransoletki zwinął się na rączce prawej—a misternej roboty złoty łańcuszek wenecki, z medalionem maleńkim otoczył dwukrotnie łabędzią szyję dziewczyny. W pośpiechu medalion się otworzył, panna Malwina zamknęła go szybko.

— Czy je tam kto we środku?—zapytała Agata.

Panna się zaśmiała.

— Nima?—pytała ciekawska.

— Niema—i nie prędko będzie—odpowiedziała panna Malwina, wybiegając szybko z pokoju.

W salonie zastała rodziców, którzy zdziwieni byli jej pojawieniem się, bo przed chwilą służąca pani Baczyńskiej wysłana na zwiady, zawiadomiła, że panna śpi.

— Kiedy miałaś czas się ubrać?—spytała pani Olimpia.

— I wykąpałam się już matuchno—zaśmiała się Malwina.—Dzień dobry ojczulku—zwróciła się z pocałunkiem do Baczyńskiego.

— Perło moja!—szepnął pan Lubomir, przytulając do piersi dziewcze swe ukochane.

— Czy dawno już wstaliście? — zapytała rodziców.

— Przed dobrą godziną—odpowiedział Baczyński—poprzedziła nas jednak miss Mary.

— Ach! nie widziałam się z nią jeszcze—zawołała panna Malwina, zrywając się szybko ze stołeczka, na którym u nóg matki przysiadła. — Mój Boże—to ze mnie tylko śpioch taki!...

— Nie narzekaj—masz towarzysza,—zaśmiał się pan Baczyński.

— Towarzysza?

— Pan hrabia jeszcze w objęciach snu spoczywa —

— Co on mnie obchodzi? — rzuciła panna Malwina.

I nie czekając odpowiedzi, wybiegła z pokoju.

Pani Olimpia na męża spojrzała.

— Nie trwóż się tem — rzekł Baczyński, zrozumiawszy spojrzenie żony. — Młode dziewczyny do ostatniej chwili niemal tak mówią—a Malwinka zanadto jest rozsądną, ażeby wzgardzić mogła partją podobną. Zresztą hrabia nie zdeklarował się jeszcze,—Czawicz mi tylko napomknął o tem i ja w milczeniu do wiadomości słowa jego przyjąłem.

— Chciałabym bardzo, ażeby Malwinie pan Izydor się podobał,—odezwała się Olimpia.

— Podobał!—to mało! — rzekł Baczyński. — Zdziarski musi podobać się wszystkim. Wiem doskonale jakie koło niego zabiegi nawet Wapowscy robili—a przecież to ród! Koligacya ze Zdziarskimi, to nie byle jaki wypadek, moja pani! Z panującymi dworami stosunki mają, stryjaszek Izydora jest szambelanem Jego Cesarskiej Mości, a i on sam, jak słyszałem, ma zostać kawalerem jakiegoś orderu. To są powody, na które Malwina obojętną być nie może. Zanadto dobrze znam jej arystokratyczne zachcianki, ażebym wątpił na chwilę o jej rozsądku, gdy przyjdzie ku temu czas stanowczy.

Umilkł.

— Niepodobna—rzekł sam do siebie.

A po chwili dodał— —

— Jestem zupełnie spokojny!...

— Ja równie, — odpowiedziała pani Olimpia — tylko ich samych sobie zostawmy, żadnego nacisku nie wywierajmy na Malwinę,—bo ty wiesz, że... że.....

— Upartą jest trochę— —

— Nie lubi sprzeciwiania się jej woli— —

— Ale tam żadnego sprzeciwiania się być nie może, gdzie zgodność w poglądach być musi. Zresztą powiedz sama, czy jest tu partja dla Malwiny? Pomiszewski? bogaty chłopak—to prawda, ale gdym coś żartem napomniał o jego możebnych konkurach—pamiętasz, co powiedziała?

— „Prawnuczek ekonoma Potockich!“

Wypowiedziała to nawet przez zaciśnięte usteczka. Oświadczał się też i Rokicki z zamiarami swojemi, i wówczas, dopóki hrabiego nie poznaliśmy nic bym mu nie miał do zarzucenia—ale Malwina potrząsła głową—i: „*Pas pour moi!*“ dość dumnie powiedziała.

— To prawda—święta prawda, Lubomirze! — odezwała się pani Olimpja. — Nieraz nawet w rozmowie z Malwiną byłam zaniepokojona jej zapatrywaniami za nadto wielkopańskiemi. Jeżeli wspomniałam o nie wywieraniu nacisku na nią, to tylko dla tego, że wrodzony duch sprzeczności może własnemu jej szczęściu na przeszkodzie stanąć. Z mej strony była tylko uwaga.

— Zbyteczna, Limpko—bo przecie, jak ty tak i ja znam dobrze Malwinę i bądź pewną, że prędzej niby w opozycyi stanę. Mam już plan—a to ją zbliży jeszcze bardziej do Izydora.

Uśmiechnął się i wyszedł na spotkanie hrabiego, który obudził się wreszcie, wypił u siebie białą kawę i teraz, od upału słonecznego ochraniając rzadkiem włosem porośniętą głowę kapeluszem ze słomy panamskiej, przechadzał się po gazonie pomiędzy krzewami róż, pochylał się, brał do ręki, wąchał—nakoniec zerwał jedną i przypiął do klapy ze surowego jedwabiu zrobionego surduta.

Baczyński zbliżył się—w milczeniu podali sobie ręce.

— Piękne róże—odezwał się po chwili hrabia.

— Znajdziesz tu, hrabio, kilkadziesiąt ich gatunków.

— Czy to pan, czy panna Malwina jest amatorką tych kwiatów?

— Gusta nasze w niczem się prawie nie różnią—odpowiedział Baczyński. Ale—jakże się spało hrabiemu?

— Po królewsku, jeżeli królowie tak śpią długo, jak to dziś mnie się udało. Sądzę jednak, że panna Malwina, dotąd spoczywa w słodkich objęciach snu —

— O nie. — uśmiechnął się Baczyński — wstała już od godziny.

— *Parbleu!* — zawołał hrabia — coraz piękniej przedstawiam się córce pana.

— Jakto—coraz piękniej?

— Pozwolisz pan, że osobiście przed nią się wytłumaczę z milczącej odmowy jaką dałem na jej propozycyę przejażdżki konnej. Zadaniem mojem jest zaskarbiać jej łaskę, nie utracać— —

A Baczyński na to:

— Sądzę, że obawy niema— —

Hrabia podniósł swoje błękitne oczy i wpatrzył się w pana Lubomira.

— Słowa te—rzekł — ośmielają mnie do wypowiedzenia uczuć, jakie od dawna żywię, dla pięknej córki pańskiej. Czy ze strony pana i jego małżonki nie znajdę nic, coby się sprzeciwiło zamiarom moim?...

W sercu pana Baczyńskiego otworzyły się wrota niebieskie, ale niczem nie dał poznać po sobie uczuć, jakie nim miotały.

— Zaskoczyłeś mnie tak nagle panie hrabio — rzekł, udając obojętność zupełną,—że nie wiem co mam na to odpowiedzieć. Wiem, że ze strony naszej nie możesz się lękać niczego—ale bodaj czy Malwina domyśla się uczuć twoich. Słowa zaś moje... wypowiedziane—ot, doprawdy, że bez myśli zostały— — —

Hrabia westchnął.

— Postaram się zyskać jej względy — dodał po chwili.

— Wiesz, hrabio, jak Malwinę wychowywałem. Nikt inny, tylko ona sama, rozporządzać sobą może—po ostatnie więc słowo do niej jednej zwrócić się trzeba.

— Mam niepłonną nadzieję, że będzie ono wiernem odbiciem serdecznych pragnień moich—rzekł hrabia, przykładając dłoń do serca.

W milczeniu podali dłonie i przechadzali się dalej wśród krzewów różanych, które oblane ciepłemi promieniami zachodzącego słońca, rozwijały listek po listku, odurzający zapach rozlewając do koła. Przepyszne szczególnie były róże sztamowe o barwie koloru krwi. Hrabia prawie każdą we dwa brał palce i do nosa przytykał.

A tymczasem w oddalonej części ogrodu panna Malwina z miss Mary żywą prowadziła rozmowę.

— To dziwne, jak czasem jedno słowo wiele powiedzieć nam może, — mówiła panna Baczyńska.— Ja, za inicyatywą twoją, kochana Mary, założyłam wiadomy ci fundusz wiejski, myśląc tylko o tem, ażeby pobierana opłata za wyrządzone w gospodarstwie szkody, nie szła na naszą korzyć—bo lud, ten sprawiedliwy wreszcie wyrok, opacznie by zawsze tłumaczył. Nie mogłam znosić łez, skarg i narzekań—dziś tego już niema—a mnie dobrą panienką nazywają wszyscy. Tymczasem zrobiło się więcej, aniżeli myślało się zrazu. Przysłowiowa nienawiść wsi do dworu znikła zupełnie—i, nie wiedziałam do dnia wczorajszego, że to już jest społeczną zasługą. Przedstaw sobie, kochana Mary—ja i zasługa społeczna!... Taką malutką rzeczą tak wielkiej dokonać—czyż to nie jest wynalazkiem nadzwyczajnym?

— Jajkiem Kolumba—dodała miss Mary.

— To prawda!... a tak go łatwo postawić— —

Zamyśliła się.

— To także odkrycie — dodała, jakby dopowiadając myśli własnej.

— O czem myślisz, Malwino?—zapytała ją miss.

— O tym Andrzeju Maleckim, o którym mi wczora parę słów dziwnych poczciwy pan Aleksy opowiedział...

— Andrzej Malecki?—spytała znów angielka.

— Syn Krzysztofa, tego pięknego starca, któremu najpierwej dzień dobry mówię. To dziwne! my tu a on tam pracujemy dla jednej idei—tylko, że ja czyniłam bezwiednie, on zaś z całą świadomością swej pracy. Ach! jaka szkoda, że on do naszej nie należy sfery. Poznałabym go z ciekawością— —

— Ty mnie bardzo lubisz, Malwino—wpół twierdząco, wpół pytająco rzuciła angielka.

— Ciebie?

— Tak— —

— Ale, moja Mary—ja ciebie kocham nie lubię...

— Nie wahasz się nawet publicznie przyjaciółką swoją nazywać— —

— Czy mam lepszą od ciebie?—zawołała panna Malwina, całując ją serdecznie.

— Nie cofniesz słowa?

Baczyńska spojrzała dumnie.

— Za kogo mnie masz?—spytała.

— Za dziecko dumnego rodu, dziedziczkę krwi— odpowiedziała Mary.

— Więc krzywdzisz mnie podwójnie — rzekła Malwina.

Miss Mary siedząc na ławce darniowej, wpatrzyła się w aleję cienistych szpalerów a jasne, płowe jej oczy przybrały wyraz smutku, kąty ust skrzywiły się jakimś uśmiechem bolesnym i zaczęła mówić powoli, jakby do siebie, jakby słuchaną przez nikogo nie była.

— Pamiętam dobrze, gdy mnie przywiedziono przed próg wspaniałego pałacu margrabiny Dorning. Miałam wtedy lat tyle, że mogłam rozumieć słowa, które obecni zamieniali między sobą. Wiem, że byłam zgubionem i znalezionem dzieckiem — znalezionem tylko przez ludzi obcych, w odległym zakątku Londynu. Ten, który mnie płaczącą przyprowadził, rzekł do margrabiny:

— Chciałaś pani na własność wziąć dziecko, oto znajdek po rozbiciu się okrętu na wybrzeżu Anglii...

Wymienił miejscowość strasznej katastrofy, ale nazwiska jej nie pamiętam.

Margrabinie podobałam się bardzo, mówiła, że jestem ładną, że muszę być dziecięciem szlachetnego rodu. Nie szlachcianki nie wzięłaby za nic. Ten, co mię przyprowadził upewniał panią Dorning, że jestem z dobrej rodziny; mówił mu o tem kapitan rozbitego okrętu i polecił mnie jego opiece. Ale ten człowiek był za ubogi, by mnie stosownie

do urodzenia wychować. Wyczytawszy w dziennikach, że margrabina Dorning, chce przygarnąć jakąś sierotę pochodzącą z dobrego domu—udał się do niej ze mną. Margrabina mu dała sto funtów. Ja zostałam przy niej.

Byłam posłuszną, grzeczną i pilną, uczyłam się dobrze, miałam zabawki i stroje, później karety i służbę. Margrabina nazywała mnie córką swoją i nosiła się z myślą adoptacyi. Nazywano mie dobrą, a jednak, co tylko dobrego było we mnie, to leżało we krwi mojej, bo margrabina nie była dobrą a jej wychowanie popsuć mię tylko mogło.

Byłam szczęśliwą do lat ośmnastu życia.

Nagle się wszystko zmieniło, sfraciłam łaskę margrabiny i—zostałam wygnaną.

Na pewnym raucie u lorda Kingsbury margrabina spotkała się z kapitanem rozbitego niegdyś okrętu. Poznali się—mówiono o mnie—i dopiero na jaw wyszła prawda cała:

Byłam córką węglarza.

Miss Mary umilkła i spojrzała na zasłuchaną Malwinę.

— Czy kochasz mnie zawsze?—spytała.

W oczach panny Baczyńskiej łzy błysnęły.

— Kocham ciebie więcej, stokroć więcej — szepnęła, przykładając swoje usta do zwiędłych ust angielki.

— Nie należę do waszej sfery, — mówiła miss Mary.

— Lecz do grupy gwiazd tych, które coraz piękniejsze, coraz jaśniejsze promienie rzucają—rzekła panna Malwina.

Umilkły, bo hrabia Izydor poważnym zbliżał się krokiem. Lekkim ukłonem powitał miss i zwrócił się do panny Baczyńskiej.

— Szukałem panią —

Malwina miała oczy rozognione, płonące jagody, usta jak korale pąsowe. Hrabia przymrużonemi oczyma patrzał na nią i pieścił się myślą.

— Chciałem panią przeprosić, że nie mogłem dziś z rana, zaraz po balu skończonym, towarzyszyć w jej wycieczce konnej. Ale byłem śmiertelnie znużony, sam nie wiem dla czego. Czy wybaczy mi pani?

— Wybaczam, panie hrabio, i dodam—że nie jeździłam wcale konno. Wybaczam, ale pod warunkiem, że dzisiaj przed wieczorem zechcesz mi pan towarzyszyć?

— Co za słodki warunek!—zawołał hrabia.

Ujął rączkę i do ust przycisnął.

Panna Malwina nie wyrywała ręki z uścisków hrabiego, choć czuła, że ją całował mocno i długo. Później podał jej ramię, a idąc szepnął, pochylając się nieco do jej ucha.

— Gdybyś mnie pani zrozumieć chciała?

— Czy jesteś pan Sfinksem? — spytała panna Malwina.

— Nie, pani! Rola Edypa mnie może przypaść.

— Nie rzucam panu żadnych zagadek— —

— A gdybym się omylił w zrozumieniu pani? — rzekł hrabia.

— Tak łatwo nie popełnić błędu... — odpowiedziała.

Hrabia obejrzał się.—Miss Mary szła za nimi.

Zmienili przedmiot rozmowy i zbliżyli się do ganku, na którym stali oboje Baczyńscy. Panna Malwina poprosiła hrabiego o zerwanie jej róż kilku, sama zaś zbliżając się do rodziców, rzekła z uśmiechem:

— Zdaje się, że hrabia we mnie się kocha?

— Nie wyjdziesz za niego — rzekł nagle Baczyński.

Panna Malwina spojrzała na ojca.

— Dla czego?—rzuciła pytanie.

— Bo mam inne zamiary— —

— Już to w tem, mój ojcze, to ja się sama rozporządzę—rzekła, a koralowe usta zacisnęły się lekko.

Baczyński namarszczył się—hrabia wszedł z bukietem kwiatów—otrzymał piękny uśmiech w podziękowaniu od panny Malwiny.

Umyślnie rzucone przez Baczyńskiego słowa z elektryzowały nie lubiącą niczyjego przewodnictwa pannę. Dla pana Izydora była nad wyraz uprzejmą, grała, gdy prosił ją grać—śpiewała, gdy śpiewać prosił, nie pojechała nawet dnia tego na spacer, bo bądź co bądź hrabia zmęczonym czuł się jeszcze. Wieczór przeszedł na ożywionej rozmowie pod lipami, mówiono o Paryżu, Wenecyi, stosunkach hrabiego i jego nowym pałacu w Zaczyniu, który Zdziarski, w łatwo zrozumianej myśli, budować rozpoczął. Miał plan nawet swej nowej rezydencyi przy sobie i pokazał go pannie Malwinie. Zrobionych parę uwag przez nią zanotował zaraz— i prosił o dalsze informacye.

Na spoczynek rozeszli się wcześnie.

— Malwinko—kokietujesz, — rzekł Baczyński na dobranoc.

— A może i mnie się pan hrabia podobał?—odpowiedziała Malwina.

Baczyński wzruszył lekko ramionami, lecz śmiał się w duchu z przebiegłości swojej.

— I dla czegobym nie miała wyjść za niego? — mówiła Malwina—układając się do snu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 27 października.

Dzisiejszą korespondencyę zaczynam opisem katastrofy kolejowej, jaka chyba jeszcze nigdy nie zdarzyła się obfitującemu we wszelkiego rodzaju przypadki Paryżowi.

Oto w ubiegły wtorek na dworcu kolejowym Montparnasse nieprawidłowo rozpędzona lokomotywa, złamawszy wszelkie zapory, wypadła przez olbrzymie okno kilkopiętrowego dworca, i niby smok legendowy zawisła w powietrzu.

Wieść o niesłychanym wypadku szybko rozeszła się po mieście i tłumy ludzi podążyły na Place des Rennes, ze zdumieniem i zgrozą przyglądając się niezwykłemu zjawisku. Na szczęście odbyło się bez wypadku z pasażerami, co zmniejszyło grozę katastrofy. Jedynie roznosicielka dzienników została zabita na miejscu kamieniem spadającym z walącej się ściany. Biedna kobieta, siedząc na stopniach schodów znajdującej się pod dworcem restauracyi, robiła spokojnie pończochę, nie przypuszczając ani na chwilę okrutnej śmierci.

Winę całego wypadku przypisują złemu stanowi hamulców, to też tutejsze dzienniki rozstrząsają niedbalstwo zarządu kolei, a za dziennikami oburza się publiczność, słusznie przerażona tak poważnym wypadkiem.

Kiedy już mowa o katastrofie, to w dalszym ciągu podaję ich jeszcze więcej. Jedną z nich jest samobójstwo aptekarza z Warszawy p. Kosmera, który w przystępie rozstrojenia nerwowego, czy też rozpaczy wystrzałem z rewolweru pozbawił się życia w ogrodzie Trocadero.

Dalej wypadkiem wstrząsającym tutejszą arystokracyę finansową była tragiczna śmierć młodego miljardera amerykańskiego Wilhelma Mackay'a. Młodzieniec ten, znany w szerokich kołach paryzkiego towarzystwa, jako znakomity sportsmen przez własną nieostrożność padł ofiarą rozhukanego konia, który go zrzucił na pień ściętego drzewa podczas polowania. Pyszne zaprzęgi młodego Mackay'a podziwiał Paryż wszędzie, gdzie tylko modny świat zwykle się ukazywał.

Zaledwie ostatni odgłos wielkiego pożaru fabryki Godillot'a zakończył się śmiercią młodego strażaka, który w strasznych męczarniach zakończył, przed kilkoma dniami życie w szpitalu, kiedy znów we środę schronisko ubogich chorych dzieci, szpital Trousseau, nawiedzony został pożarem, budząc panikę między biednymi rodzicami. Na szczęście energia dozorczyń, miejscowej służby, lekarzy przybyłych na miejsce katastrofy i ludzi dobrej woli, usunęła bez groźnych następstw do bezpiecznego miejsca chore dzieci, a prawie natychmiast potem zapadł z hukiem dach nad całym palącym się gmachem.

Ze skandalików paryzkich mogę wam donieść, że wykryto w gronie policyi francuzkiej pewną liczbę osób, które systematycznie uprzedzały przekupniów o mającej nastąpić rewizyi prowiantów targowych przez komitet sanitarny. Pomiędzy osobistościami, które z przekupstwa i z krzywdy dla ogólnego zdrowia wytworzyły sobie zyskowny proceder, znajduje się dwóch członków prefektury policyi paryzkiej. Lepine, prefekt policyi, niecnych winowajców surowo ukarał dymisyą.

Dzielnie spisali się studenci medycyny, jakkolwiek wywołali burzliwe zajścia. Medycy wyższych kursów drogą konkursu zdobywali miejsca t. z. eksternów" t. j. pomocników lekarskich, obowiązanych spędzać kilka godzin dziennie w szpitalu przy chorych. Miasto wyznaczało za to eksternom 30—50 franków miesięcznie, to też ubodzy adepci medycyny z pożytkiem dla chorych ubiegali się bardzo o te miejsca, co nieraz dawało im możność walczenia z biedą. W tych dniach dyrektor wydziału szpitalnego zaproponował zniesienie tej pensyi wiedząc, że i tak kandydatów nie zbraknie dla samego korzystania z materyału naukowego w szpitalach. Studenci urządzili burzliwą opozycyę, ujmując się za niezamożnymi kolegami, motywa racyonalne poparli jeszcze potłuczeniem szyb w mieszkaniu powszechnie przez nich nielubianego dyrektora szpitali, i rada miejska uchwaliła pozostawienie i nadal skromnej, choć nieraz bardzo ważnej, pensyjki dla eksternów.

Coś, niby niszczycielska bomba, przeleciało wczoraj nad głowami deputowanych w parlamencie podczas rozpraw nad strejkiem w Carmaut. W chwili gdy minister spraw wewnętrznych wchodził na trybunę, padł z galeryi rozsypany w powietrzu bukiet kwiatów, a jednocześnie usłyszano okrzyk: „Vive la France! Jestem robotnikiem bez zajęcia, okaleczony przy pracy, żądam sprawiedliwości" Biedak jakiś, górnik z Lens, po długich, a bezowocnych pertraktacyach z pryncypałami, przywlókł się do Paryża, za ostatnie 30 centimów kupił kwiatów, by zwrócić uwagę możnych na swoją niedolę. Dostał tylko trochę pieniędzy na powrót do domu.

Oprócz wypadków i wypadeczków wszelkiego rodzaju zajmuje się teraz Paryż gorąco, Madagaskarem, teatrem, przyjęciami, a w ślad zatem strojami i urządzeniem domowem, zajmującemi zawsze niepoślednie miejsce w życiu przeciętnej paryżanki.

Niedawno wszedłem przez ciekawość do jednego z tutejszych magazynów, a raczej owych olbrzymich bazarów, tak pysznie opisanych przez Zolę w powieści „Bonheur des Dames." Był to dzień tak zwanej „exposition genérale." A czy wiecie, co znaczy to słowo dla paryżanki? Oto kilka razy do roku, z początkiem każdego sezonu olbrzymie składy wielkich magazynów organizują wyprzedaż po cenie niżej kosztu, prześcigając się w anonsach dla zwabienia tłumów. Paryżanki nie mogą opuścić takiej gratki: od wczesnego ranka suną szybkim krokiem pode drzwi bodaj nawet jeszcze zamkniętych magazynów, aby się wzajemnie wyprzedzić w nabyciu wystawionych okazów. Dobrze już naprzód wystudyowały wszystkie prospekta i anonse, z góry wiedzą, co i za jaką cenę nabędą, biegną więc śmiało, szybko oryentując się w tym prawdziwym labiryncie, który dla każdego obcego jest nie do objęcia i nie do zdobycia. Warto doprawdy obserwować taką zaaferowaną paryżankę, kiedy szarpana szaloną żądzą nabywania przerzuca drżącemi rękami stosy miękkich materyi, delikatnych aksamitów, zwoje wstążek, gaz, kwiatów i koronek. Nie żałując czasu i zmęczenia, zaopatruje się nieraz w rzeczy niepotrzebne, które w zapale kupowania nabyła, a nazajutrz jako zbyteczne odnosi z powrotem, co bez szemrania zostaje przyjętem.

Letnie rezydencye już opróżnione; ich mieszkańcy przenieśli się całkowicie pomiędzy pełne życia mury Paryża. Teatry zapełnione po brzegi, w lożach pełno najwspanialszych tualet, a w krzesłach cały Almanach de Gotha; szczególnie dni abonamentowe odznaczają się napływem arystokracyi.

Po głośnej sztuce Hervieu'go, o której donosiłem w poprzedniej korespondencyi, komedya francuzka wystawiła „Fauna," jednoaktówkę wierszem, napisaną przez Jerzego Levéfre. Autor niegdyś był handlarzem piór strusich w południowej Afryce i dopiero po wielu przejściach wziął się do pióra. Nowy utwór jest to idylla, zaprawiona filozofią natury; ma wiele powagi, a jego pastuszkowie i fauny podnoszą odwieczną zagadkę nieśmiertelności duszy; autor wydobył kilka tonów prawdziwie przejmujących. Panna Reichemberg, Coquelin młodszy i Lambert syn przyczynili sie bardzo do uwydatnienia zalet utworu.

Odeon wystąpił też z premyerą, dając trzyaktową sztuką poważną, p. t. „Życie, osnute na tle zdrady małżeńskiej.“ Matka dla spokoju syna wypiera się oskarżenia o wiarołomstwo synowej. Biorąc na siebie winę o fałszywe oskarżenie, traci serce syna i opuszcza go, wiedząc że nigdy jej tego nie przebaczy.

W tymże teatrze wystawiono jednoaktówkę, zatytułowaną „Zagadka historyczna,“ a napisaną p. Ginisty'ego i Samson'a. Treścią jej jest zaślepienie dawnej domy dworu Maryi Antoniny i absolutna wiara w istnienie prawego potomka Ludwika XVI; a kiedy nareszcie przekonana o nieprawdopodobieństwie, zachwiała się w swej wierze, zestawienie innych okoliczności zmusza ją powrócić do swego pierwotnego zdania. Autorzy widocznie nie chcieli brać na swoją odpowiedzialność rozstrzygnięcia tego historycznego sporu. Staranne wykonanie oraz efektowne akcessorya i współczesne kostyumy złożyły się na niezwykłe powodzenie tej historycznej fantazyi, tembardziej że eklektyzm autorów nie zadrasnął sympatyi stronniczych, o co we Francyi bardzo łatwo.

W Nouveautés mieliśmy także nową sztukę, a raczej wodewil p. t. „Complices,“ napisaną przez dwóch humorystów, Donnay i Grosclaude'a. Tutaj też niewiara małżeńska jest osią akcyi; wyrasta ztąd mnóstwo qui pro quo i niezłych dowcipów; znać w budowie sztuki, że napisali ją nie zawodowi wodewiliści, ale zwykli humoryści.

Coquelin starszy, zachęcony powodzeniem Sary Bernhardt, wydzierżawił pod własny teatr olbrzymią scenę Porte-Saint-Martin, a Paweł Deroulède dał swój nowy dramat teatrowi p. t. „Mossieur du Gueselin,“ w którym rolę tytułową objął Coquelin. Autor wyidealizował z krzywdą dla prawdy dziejowej owego rycerza z XIV wieku, który był zarazem i zwyczajnym rozbójnikiem. Bo jakkolwiek legenda otoczyła go niezwykłą aureolą z powodu, że odbierając mienie i życie bogatym, oszczędzał ubogich—nie jestto jednak czysty jak łza bohater narodowy, działający w celu zjednoczenia Francyi, jak to chce mieć Deroulède w swym dramacie, krytyka nie widzi wogóle w tym utworze ani zalet artystycznych, ani konsekwentnej treści, ani formy. Ogół zaś wypowiada dwa wręcz przeciwne zdania: gdy jedni widzą w tym dramacie mglisty utwór obłąkanego, inni upatrują w nim dzieło podniosłe, wykazujące zwyrodniałemu narodowi ideał rycerza.

Wesoły teatr w Palais-Royal wystawił nie mniej wesołą sztukę „Le Train de plaisir,“ trzech autorów podobnych fars, p. Hennequin, Mortier i Saint-Albin. Sztuka ta jest jednym z najlepszych okazów tego rodzaju pieprzno — paradoksalnej wesołości. Grana doskonale pobudza publiczność do nieustannego śmiechu.

W teatrze Chatelet wznowiono stary dramat „Les fugitifs,“ który jakkolwiek trąci nieco myszką (wystawiony był poraz pierwszy w 1858 r.,) jednak ściąga zwykłą publiczność do tego teatru. Można tu napaść oczy wspaniałą uroczystością indyjską, urozmaiconą oryginalnemi tańcami i wspaniałemi kostyumami tancerek.

Nie mniejszym powodzeniem cieszy się w Ambigu „As treflowy“ Decourcelle'a, grany również przed kilkunastu laty; ale autor poczynił takie zmiany i dodatki, że sztuka stała się poniekąd nowością dla paryżan. Dramat odznacza się niezwykle pięknemi dekoracyami i doskonałą obsadą ról przez wybornych artystów.

Wolny teatr Ouvre z całą swoją trupą pod dyrekcyą p. Lugné-Poë będzie dawał przedstawienia nietylko w Paryżu, ale wyjedzie na występy gościnne do Brukselli, Hagi i Amsterdamu.

Młody włoski mistrz Puccini spożytkował znany dramat Sardou „Tosca“ jako libretto do niewykończonej jeszcze opery.

Z rozpoczęciem sezonu Lamoureux i Colonne rozpoczęli szereg koncertów niedzielnych, powszechnie bardzo lubionych, zachwycano się szczególnie symfonią Cezara Franck'a nieżyjącego już kompozytora.

Na ożywienie widowisk i wyższych sfer towarzystwa wpływa niewątpliwie nieustanny zjazd znakomitości i głów koronowanych, przedstawicielem, których jest obecnie Karol I, król portugalski. Prezydent Faure podejmował króla kilkakrotnie, a między innemi urządzono w tych dniach w lasach Rambouillet świetne polowanie, na którem padła nieprzeliczona ilość zwierzyny.

I redakcya „Figara“ też uroczyście podejmowała dostojnego gościa. Olbrzymia sala przyjęć, wspaniale oświetlona, a przytem ozdobiona szeregiem portretów panujących i książąt, którzy redakcyę „Figara“ zaszczycili swą obecnością, była miejscem tego wyjątkowego zebrania. Król Karol I mile spędzał czas w gronie licznych przedstawicieli ciała dyplomatycznego, sztuk pięknych i ciała literackiego.

Na przedstawieniu, dawanem na korzyść rannych i chorych z wyprawy do Madagaskaru, był także obecny król Karol I. Szereg przedstawień na ten cel cieszy się wielkiemi względami publiczności; szczególnie zaś podobał się wspaniały turniej wojskowy, odbyty w okazałej galeryi maszyn na polu Marsowem.

W ogóle od chwili urzędowego zawiadomienia o zdobyciu stolicy Madagaskaru i zawarciu pokoju, szalona radość zapanowała w mieście; dzienniki w powiększonej liczbie egzemplarzy rozchwytywano, iluminowano domy, demonstrując forsownie swoją radość.

Korzystając z ogólnej radości przedstawiciele duchowieństwa wystosowali do prezydenta list z prośbą o odłożenie ściągania podatku spadkowego od zakonów. Prośba ta nie ma szans powodzenia.

Śmierć Pasteur'a ciągle jeszcze zajmuje pokaźne miejsce w dziennikarstwie, pomimo zamianowania już następcy po nim na godność dyrektora instytutu. Został nim D-r Duclaux także znakomity bakteryolog i od wielu lat współpracownik zmarłego uczonego. Oprócz tego Duclaux jest członkiem akademii nauk oraz oficerem legii honorowej. Pomocnikiem i ewentualnym zastępcą dyrektora zamianowano dr. Roux, słynnego wynalazcę surowicy antydyfterytycznej.

W tych dniach nieprzewidziana śmierć zabrała także jednego z głośnych francuzkich powieściopisarzy. We wtorek, 22 października, zmarł nagle Gustaw Droz. Droz pierwotnie kształcił się w sztuce malarskiej, którą po kilku latach rzucił, poświęciwszy się pracom literackim, z których wkrótce ogólnie zasłynął. Najgłośniejszem jego dziełem była prześliczna powieść p. t. Monsieur, Madame et Bébé i ta odrazu zjednała autorowi zasłużony rozgłos. Oprócz tego napisał on szereg wybornych dzieł, jakimi są; Eutre nous, Autour d'une source, Paquet des lettres, Cahier bleu de Mademoiselle Cibot, Tristesse et sourire, Babolin i wiele innych udatnych obrazków. Wszystkie one podnoszą słodycz i wdzięk życia rodzinnego, to też dzieła Droza cieszyły się uznaniem matek i ojców rodzin i w każdym domu miały miejsce.

Umarł też jeden z najgorętszych wielbicieli rodziny Napoleonów, baron Hipolit Larrey, znakomity chirurg, a syn również głośnego operatora za czasów Napoleona I i ztąd datuje się przywiązanie całej rodziny barona do dynastyi Napoleonów. Zmarły Hipolit Larrey był naczelnym chirurgiem przy Napoleonie III i on to pierwszy jeszcze w r. 1865 skonstatował chorobę kamienia u cesarza i proponował zrobienie operacyi. Nie chciano jednak wtedy pójść za jego radą, a nawet oddalono go z tego powodu ze dworu z zakazem głoszenia podobnej wieści.

A ta właśnie choroba cesarza była poniekąd przyczyną klęsk 1870 r., bo zamiast energicznego wodza armia miała w osobie cesarza wycieńczonego cierpieniem, zniedołężniałego chorobą przewodnika, kiedy wczesna operacya mogła zapobiedz wielu późniejszym niepowodzeniom.

Larrey poruszył energicznie sprawę hygieny wojskowej. Między innemi zwrócił uwagę na niewłaściwość jadania ze wspólnych naczyń i na wysokie kołnierze u mundurów, sprowadzające wiele chorób pośród wojska. Rozprawa napisana o tem przez Larrey'a narobiła tyle hałasu, że za jej wpływem usunięto wysokie kołnierze i wspólne miski.

A teraz na zakończenie dodaję maleńkie ostrzeżenie dla kandydatek, śpieszących do uniwersytetu paryzkiego, mianowicie o dziwnie wyjątkowych rozporządzeniach względem młodych adeptek nauki, a szczególnie medycyny. Jest to widoczna niechęć do cudzoziemców, którą francuzi objawili w ten sposób, że motywując przepełnieniem, nie przyjmują prawie żadnej z zagranicznych kandydatek.

Skutkiem tego zawiedzione rade nie rade muszą albo jechać do uniwersytetów francuzkich prowincyonalnych, albo szukać miejsca w gościnnej zawsze Szwajcaryi.

C. H.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Poezya rzadko kiedy ukazuje się obecnie tak w szpaltach pism peryodycznych, jak i w wydaniu książkowem, a przecież potrzeba jej, aby odrywała nas choć kiedy niekiedy od codziennej prozy życia—aby dawała nam wrażenia i wzruszenia, które podnoszą serca w łonie i odmykają wrota krainy ideału. Z tem większem zajęciem czytelnik bierze do ręki świeżo wydany zbiorek poezyi p. Wincentego Rapackiego (syna) wydany nakładem K. Treptego. Ton lutni młodego poety brzmi smętnie, wyznaje on też na wstępie, że serce jego „ścięte mrozem“ jaki przynosi zima i wsłuchowując się w głosy otaczającego świata słyszy jak gdyby „jedno westchnienie: słońca, słońca, słońca!“ Wie on przecież, że słońce to wróci w danej porze, ale promienie jego nie będą już dlań blaskiem rozjaśniającym mu życie i wyznaje, że miłość nieszczęśliwa wywołała ten stan. Nie zasklepia się on przecież całkowicie w tym egotyzmie swoim, piękno pociąga go ku sobie, zwraca przytem wzrok ku górze i w poezyi „Religioso“ woła:

Przebacz mi Boże
Żalu wybuchy
Na nędzę ludzką
Nie chcę być głuchy.
Z serca wypędzę
Złości nasienia,
W kwiat przebaczenia
Je przyozdobię.
Myśli spokojne
Zwabię ku sobie
I toczyć wojnę
Będę z arkanem
Żądz, namiętności,
Jako z szatanem
Anioł miłości...

Następnie też w wierszu innym, w rozdziale „Pieśni bez nazwy,“ odzywa się już mężniejszy, podniesiony na duchu:

Boże! dla czego świat nazywać sępem,
Który szponami serce nasze targa?
Zawszeć ten wygra kto walczy podstępem?
Zawszeć bez echa zmilknie prawdy skarga?
Czyż zawsze dobro ustępuje złemu,
Nie ma serc prawych?.,. O! nie wierzę temu...

Wyszło w czwartem wydaniu jedno z najpopularniejszych dzieł Chmielowskiego, redaktora *Ateneum* „Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.“ Ocena dzieła tego nie jest już potrzebną, bo pisano o niem obszernie, nie każdy przecież powtórzy za autorem, przemawiającym w przedmowie do dzisiejszych pisarzy, aby nie stawiali nam takich postaci kobiety, jakie znajdują się w szlachetnych utworach naszych wieszczów, gdyż postacie te to ideały najszlachetniejszych zadań istnienia kobiety a nam potrzeba żyć „we współczesnej rzeczywistości.“ Czy przecież można przystać na to zdanie? Wprawdzie z pod pióra bardzo szlachetnego wyszły słowa „Nie marnuj życia na ideały,“ ale odnosi się to do innego rzeczy zastosowania. Gdy ideał jest natchnieniem do czynu, któż go uzna za rzecz niepotrzebną w ludzkości, bo czyż mogą rodzić się w nas inaczej szlachetnych pragnień porywy? Ideał to przewodnia nić dla życia, gdyż ukazuje nam cele jego wyższe, niż zjadaczy chleba, zaliż więc nie potrzeba ich żonie, która dzieląc życie męża, spracowanego dźwiganiem ciężarów realnego życia, pie-

lęgnować w nim powinna przez siły własnych uczuć porywy z celem wzniosłej idealności?

Książka Pileckiego „Kobiety poetki“ jest odbitką z odczytów wygłoszonych przez tego pisarza na korzyść Osad rolnych. Czy nie jest mylnem wygłoszone tu zdanie, że kobieta nasza „ocknąwszy się w drugiej ćwierci naszego stulecia z długiego uśpienia i zapragnąwszy wziąść żywy i samodzielny udział w pracy twórczej, natrafiła na naganę, a pióra męzkie zaprzeczyły kobiecie prawa do samodzielnej pracy.“ Chodzić tu mogło partyi pewnej o zasady przez nią wygłaszane, ale nigdy o twórczość literacką kobiety, jak tego dowodem jest Tańska, którą otaczało uznanie całego ogółu i mylnem jest zdanie autora, że wywalczonem zostało dopiero wtedy kobiecie „prawo wolnego wstępu do krainy wiedzy.“

Bardzo pożyteczną pomocą dla nauczycieli i rodziców jest *Nowa gramatyka Polska* Franciszka Konarskiego, opracowana bardzo starannie i dobrze przy związłości, która jest w dziełach z tego zakresu wielce potrzebną. Prostota stylu należy też tutaj do zalet ważnych, bo ułatwia to naukę, mniej nużącą wtedy, gdy przedmiot jej nie każe się zdobywać mozolnie, zwłaszcza, że książka ta, przeznaczoną jest nietylko do użytku szkolnego, ale i domowego nauczania. Szkoda tylko, że potrzebne przykłady nie są staranniej dobierane, bo obok zasady gramatycznej umysł spotkał by się ze zdaniem korzystnem dla myśli.

Nagrodzone na konkursie „*Gazety Świątecznej*“ opowiadanie „O Marysi sierocie,“ napisane przez Z. Kowerską wyszło w Księgarni krajowej Kondrada Prószyńskiego, rzecz bardzo zajmująca odnośnego czytelnika.

Pilne sprawy hygieniczne, skreślone przez D-r Józefa Tchorznickiego, a wydane przez zapomogę Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia D-ra Józefa Mianowskiego, należy uważać za książkę bardzo użyteczną w rodzinach, gdyż matki znajdują tu sposobność objaśnienia się w przedmiocie wielkiej wagi dla wychowawców, jak należy nietylko pielęgnować zdrowie młodego pokolenia, ale i podać tu środki, któreby pozwalały zdrowie to pozyskać przez odpowiednie postępowanie tak w zakresie hygieny jak i oddziaływań moralnych. Dziecko prowadzone rozumnie będzie w sobie wyrabiać z natury rzeczy większą siłę żywotną, bo nie potrzebną tu się stanie ta karność surowa, która zawsze źle oddziaływa na ciało i ducha młodego.

Złotą książeczkę napisał ks. Z. Skarzyński jako przygotowanie dzieci do pierwszej spowiedzi. Rzecz rozpoczyna się od rad danych rodzicom, jakiem przygotowanie te być powinno; uwagi i przestrogi opierają się na umiejętnie i szlachetnie pojętej naturze dziecka, w głąb której należy się zasiewać ziarno szlachetne miłości Boga i bliźniego—podnosić strony uczuć jego dobrych, aby opanować w ten sposób złe skłonności samolubstwa i materyalizmu. Na tem polega cała duchowa edukacya człowieka.

M. I.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż w roku przyszłym suma monet złotych powiększoną będzie o 290 milionów rubli, suma monet z czystego srebra o 25 milionów.

— *Wiadomości Petersburskie* piszą, iż ministeryum rolnictwa opracowało projekt rozpowszechnienia w różnych miejscowościach kraju uprawę roślin lekarskich.

— *Świat* zapowiada, iż po zjednoczeniu taryf kolei syberyjskiej z taryfami ogólnej sieci kolejowej w państwie, przyczem uwzględnioną będzie komunikacya bezpośrednia z koleją syberyjską nastąpią znaczne ustępstwa taryfowe.

— Warszawskie Towarzystwo dobroczynności powołało przez członków wydziału ochron na następne trzech lecie prof. K. Jurkiewicza na wice-prezesa, p. E. Konopczyńskiego na wice-prezesa, p. K. Kurowskiego na sekretarza.

— W redakcyi „Kurjera Warszawskiego“ złożył malarz Betley szkic olejny z celem sprzedania go na rzecz odbudowania spalonego kościoła w Gorzkowicach. Szkic przedstawia ruiny zgorzałej świątyni, oraz namiot w którym odbywa się obecnie nabożeństwo.

— Kościół Ś-tej Teresy w Wilnie przy Ostrobramie został odrestaurowany. Pracę tę powierzono p. A. Strzałeckiemu z Warszawy, a ten wezwał sobie do pomocy obok syna Zygmunta, który wymalował kilka obrazów ściennych w głównej nawie, p. Lendemana. Artysta ten odnowił freski, przedstawiające żywot Ś-tej Teresy: obraz wielkich rozmiarów w kopule, cztery mniejsze na sklepieniu nawy głównej i sześć pomniejszych, bocznych. P. Antoni Strzałecki wykonał nad przejściem do naw bocznych naśladowanie plastyczne figur świętych mieszczących się w niszach, odnowił piękny obraz Czechowicza w wielkim ołtarzu, oraz piękne, w szlachetnym stylu trzymane ławki kościelne, ozdobione mozajką i herbami fundatora, Paca. Koszt odnowienia tego domu bożego wyniósł blisko 13,000 rs., a dokonanem zostało to wszystko staraniem miejscowego plebana, kanonika Frąckiewicza.

— Nie żyjący już rzeźbiarz, ś. p. Ludwik Kucharzewski, wykonał przed laty kilku z gipsu bronzowanego szkic pomnika szlachetnego filantropa, ks. Bodouina, który wzniósł u nas zakład Dzieciątka Jezus. Szkic ten przedstawiał postać świętobliwego kapłana w naturalnej wielkości, otoczonego dziatwą, gdzie przecież się podział obecnie, niewiadomo. Wystawiony w salonie Towarzystwa sztuk pięknych, zabranym został ztamtąd po śmierci mistrza z wielką szkodą dla społeczeństwa, bo może widok jego poruszył by w sercach żywsze uczucie czci wdzięcznej dla szlachetnego człowieka, którego pamięć powinna być u nas ugruntowaną przez pomnik odpowiedni, lub wzniesienie świątyni, w której by stanął.

— Posąg Chrystusa, krzyż dźwigającego, mieszczący się u wejścia do kościoła Ś-go Krzyża, a wykończony przez ś. p. Andrzeja Prószyńskiego z cementu, więc z materyału niewytrwałego na wpływ powietrza, okazuje już przez widoczne skazy, że z czasem się rozsypie i szlachetne dzieło sztuki obróci się w niwecz. Prószyński zamierzał uwiecznić go w bronzie, ale śmierć przedwczesna unicestwiła te zamiary, lecz pleban kościoła świętokrzyskiego pragnie, aby odlano go w bronzie i prace odpowiednie już się rozpoczęły. Zakład sztukatorski Władysława Silewicza wykona kopią z gipsu, która odlana zostanie w bronzie. Koszta przedstawiają około 3,000 rs., a zacny kapłan posiada na ten cel tylko 500 rs., od czegóż przecież są ludzie dobrej woli, a ziarnko do ziarnka wytworzy miarkę.

— Na mogile ś. p. Jerzego Aleksandrowicza, profesora botaniki i prezesa Towarzystwa ogrodniczego, poświęcony został w tych dniach pomnik granitowy, na granitowej też podstawie. Cztery łokcie wysoki, ozdobiony jest portretem zmarłego, wykutym w kształcie medalionu z podpisem u dołu, (wykazującym rok urodzenia i śmierci 1819, 1894 r.,) a poniżej wyrazy: „Sercem, myślą i czynem służył poczciwie ziomkom i krajowi.“

— Salon artystyczny na Nowym-Świecie rozszerzył swój lokal; trzy pokoje zostały oddane czystemu malarstwu, jeden rzeźbie, jeden sztuce stosowanej, która rozwija się u nas bardzo i potrzebuje szerszego pomieszczania.

— Donoszą z Częstochowy, iż skarbiec świątyni na Jasnej Górze został uporządkowany w grupy według epoki, z której pochodzą mieszczące się tu przedmioty pamiątkowe. Wieża kościelna już jest częściowo odrestaurowana; grube złocenie kopuł nieco przyćmione przez działanie czasu i atmosfery nie wymagało odnowienia i zostało też tylko oczyszczonem bardzo staranie i umiejętnie, jedynie mieszczący się na wieży krzyż żelazny i kruk, trzymający w dziobie bochenek chleba, są nowe. Kruk ten ma długości pół jedynasta łokcia, a przypomina on legendę, jak Ś-ty Paweł pustelnik, założyciel zakonu paulinów, karmionym był na pustyni przez kruka, chleb mu przynoszącego. Wieża ta bardzo szeroka, ma wysokości 150 łokci i 21 cali a że wzgórze, na którem stoi świątynia, jest wyniosłe, więc szczyt jej pnie się bardzo wysoko, co wywiera wielkie wrażenie. Wzniesiona przed trzema wiekami nie pochyliła się wcale, bo oparta jest na czterech sklepieniach, każde grubości łokcia i te to sklepienia stanowią bezpieczną podporę przeciw działaniu źródeł, kryjących się w głębi opoki górskiej, które przecież mają dany sobie odpływ należyty. Fundusz na utrzymanie świątyni jest zapewniony, a obok tego dary ludzi dobrej woli napływają ciągle.

— W d. 24 ubiegłego miesiąca odbyło się po uroczystem nabożeństwie w kościele Ś go Floryana rozpoczęcie roku szkolnego w szkole sztuk pięknych. Nowy dyrektor, Juliusz Fałat przemawiał do uczniów w otoczeniu grona profesorów, wskazując im zadanie i obowiązki sztuki, która otwiera człowiekowi drogę do ideału, jeżeli jest szlachetnie pojętą. Liczba uczniów szkoły dosięga 60, a między niemi jest 26 nowo zapisanych. Na uniwersytet zapisało się ogółem 1,145 słuchaczów, zwyczajnych 1,063, nadzwyczajnych 82. Dzielą się oni na wydziały szczegółowe: wydział teologiczny mieści 68 zwyczajnych, 1 nadzwyczajnego, prawniczy 500 zwyczajnych, 9 nadzwyczajnych; lekarski 374 zwyczajnych, 23 nadzwyczajnych; filozoficzny 104 zwyczajnych, 16 nadzwyczajnych; na studya rolnicze 17 zwyczajnych, 13 nadzwyczajnych. Na pierwszy kurs medycyny zapisało się tylko 28 słuchaczy, co jest skutkiem otworzenia wydziału lekarskiego przy uniwersytecie lwowskim; farmaceutów 20.

— Pogrzeb ś. p. Żegoty Paulego zgromadził niemal cały zastęp ludzi uczonych Krakowa, bo uczestniczył w nim prezes Akademii umiejętności, rektor i wszyscy profesorowie uniwersytetu, dyrektorowie bibliotek i muzeów miasta, literaci i księgarze. Nad grobem przemawiał prof. Morawski i D-r Adam Bełcikowski. W zbiorach tego poświęconego nauce, zacnego człowieka, znajdują się wielkiej wartości stare wydawnictwa i rękopisma, Rozpatrywać je będą uczeni pod przewodnictwem D-r Władysława Wisłockiego, przyjaciela zmarłego, który przekazał mu wszystkie cenne rękopisma.

— Komitet zajmujący się we Lwowie pomnikiem Aleksandra Fredry, oglądał w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca model w glinie. Posąg przedstawiać będzie ojca komedyi polskiej w postawie siedzącej w krześle, z ramion spływający płaszcz tworzy draperye, w ręku pióro, które skreśliło tyle arcydzieł w swoim rodzaju. Na konkurs ogłoszony przez koło literacko artystyczne we Lwowie przysłano 13 modeli.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Za późno**, przez autorkę powieści „Silny duch.“ Przekład z niemieckiego, ark. 10.

TREŚĆ: **Pogawędka**, przez ??—Kazimierz Gliński. **Klęska** Powieść (dalszy ciąg).—**Nowiny paryzkie**, przez C. H.—**Notatki literackie**, przez M. I. — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: **Za późno**, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“ przekład z niemieckiego ark. 10-ty. — Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opis m. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 25 Октября 1895 г.